Nr. 9. Rok I.

We Lwowie 25. listopada 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3** „ — „ **3** „ **25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 9. We Lwowie dnia 25. Listopada 1882. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O ZASADY.

Ruch umysłowy we wszystkich dzielnicach dawnej naszej Respubliki, mimo pewne punkta styczne, idzie właściwemi sobie drogami, stosownie do obecnych warunków i przebytych dotąd kolei zbiorowego życia.

Najsilniej przejawia się on niewątpliwie w ziemiach rossyjskiego zaboru, w ognisku tej części kraju — w Warszawie.

Królestwo i Litwa najżywszy wzięły udział w ostatniem powstaniu, największą przytem poniosły w niem klęskę. Mimo strat, jakie podobne ruchy powodować mogą, zapominać nie należy, że są one zawsze świadectwem żywotności społeczeństwa, które je podejmuje, — klęski zaś w społeczeństwach nie zużytych, bywają obfitą skarbnicą doświadczenia i pobudką do nowego życia.

Gdy przeto przebrzmiały ostatnie echa bojowych zapasów, narastało zaś młode, niezużyte jeszcze pokolenie — w syrenim grodzie nadwiślańskim, przedewszystkiem w gronie młodzieży uniwersyteckiej, zaczął się nowy ruch umysłów, który społeczeństwo pogrążone w letargu i pozbawione najdzielniejszych jednostek, powołał do nowego życia.

Rzecz więcej jak naturalna. że ruch ten powstający po niedawnym politycznym pogromie, nie mógł mieć cechy politycznej. Gdy jednak my przygotowywaliśmy się do zbrojnego wystąpienia i walkę następnie toczyli, inne ludy europejskie pracowały nieprzerwalnie na wszystkich polach cywilizacyjnego życia.

Nauka porobiła wielkie i daleko sięgające zdobycze: darwinizm torował sobie zwycięsko drogę do coraz ogólniejszego uznania, comtowska filozofia pozytywna, oparta na naukach przyrodniczych rugowała resztki metafizycznych spekulacyj — teorje te zaś nie mogły nie oddziaływać nader potężnie na całą masę innych poglądów, związanych mniej lub więcej ściśle z życiem i jego zadaniami.

W tym też kierunku poszła rozbudzona myśl społeczna w Warszawie. Z zapałem i gorącem przejęciem się sprawą młodzi zapaśnicy podnieśli pochodnię nowych idei, starając się rozproszyć mrok, otaczający ich wokoło, i napadając równocześnie na zwietrzałe przekonania, na przesadną cześć powag, które zbytnią miały pretensję do nieomylności, na dziecinne zajęcie się ckliwą, sentymentalną poezją epigonów wielkiego romantycznego ruchu, gdy życie do innych zadań nawoływało — budzono, słowem, nowe życie, wywołując oczywiście namiętn napaści lub zaciętą ignorancję.

Ruch ten przyniósł naszemu społeczeństwu pewien zapas świeżych idei, rozwijał się ustawicznie i nie wypowiedział dotąd ostatniego słowa.

Znaczna przewaga idei ogólnych, naukowych i filozoficznych w tym ruchu, tłumaczy się znanemi politycznemi stosunkami w Kongresówce i brakiem szerszego życia publicznego. W tym względzie nowy obóz nie wypowiedział się jeszcze dość wyraźnie, niewątpliwie jednak ku temu idzie, a kwestje społeczne szerszego zakroju żywo dziś zajmują umysły w Warszawie, i znajdują swój wyraz w publicystyce — przyjdzie zaś kolej i na sprawy polityczne.

I w początku już jednak swego rozwoju, ruch postępowy podniósł niektóre hasła, dotyczące wewnętrznych stosunków w kraju, przewaga zaś idei ogólnych, jeżeli w kraju, gdzie żywem tętnem bije szersze życie publiczne, mogłaby być uważana za szkodliwą, to w Królestwie — jest rzeczą naturalną, ma zaś tę dobrą stronę, że życiu publicznemu daje pewną ideową, zasadniczą podstawę, i tworzy grunt na którym one bujniej rozwinąć się może.

Ruch umysłowy, o którym mówimy, przyniósł literaturze naszej kilka wybitnych

alentów. Sienkiewicz, Okoński (Świętochowski), Prus (Głowacki), i wiele innych talentów wyrosło na tym gruncie.

W prasie stworzył on nowy jej całkiem odłam, tak zwaną „prasę młodą.“ Pierwsze łamał lody na tem polu Przegląd Tygodniowy, wychodzący od roku 1867 i do dziś dnia przodujący postępowej prasie warszawskiej. Prawda pismo tygodniowe, wychodzące od r. 1881 pod redakcją wybitnego pisarza z tego obozu, Aleksandra Świętochowskiego, gromadzi koło siebie całe grono postępowych pisarzy, i utrzymuje ścisły związek z postępową myślą Europy, pilnie omawiając przytem sprawy krajowe. Nowiny, pismo codzienne, założone w czasie żywszego ruchu podczas wojny turecko-rossyjskiej, redagowane dziś przez Prusa, liczy się także do tego obozu, w szeregach którego walczy obecnie i Kurjer codzienny. Częściowo także do postępowej prasy należy Ateneum.

Ostatniemi czasy, pisarz odznaczający się wielkim niezaprzeczenie talentem, samodzielnością sądu i wielką uczciwością, Bolesław Prus, rozpoczął w Nowinach wielce ciekawą, zasadniczą polemikę z pozostałą częścią prasy postępowej. Najwybitniejszy jego artykuł p. t. Alea jacta est podajemy w większej połowie, rezerwując sobie niektóre uwagi na koniec.

Oto on:

„Kiedy na widowni dziennikarstwa, ukazał się „Przegląd Tygodniowy,“ napadła go cała ówczesna prasa, zwana starą. Dla czego napadła go? Bo „Przegląd“ głosił idee wówczas nowe. Dziś nas znowu atakuje prasa — niegdyś — młoda. A dla czego to robi? Bo dzisiaj „Nowiny“ stają się głosicielem nowych idei.

Zwykła kolej rzeczy!

Na czem polegała ówczesna nowość „Przeglądu?“ Oto mniej więcej na następujących punktach:

1) „Przegląd“ oświadczył się przeciw rządom uczucia w sprawach społecznych i upominał się o rządy rozumu. Walczył przeciw filozofii idealnej i przeciwstawiał jej filozofię pozytywną. Nad poetów wyniósł uczonych.

2) Zamiast wielkiej polityki, „Przegląd“ zalecał politykę wewnętrzną, pracę organiczną.

3) Z gwałtowną energią, dochodzącą niekiedy do paszkwilu, walczył „Przegląd“ z rozmaitemi „autorytetami.“ Szykanował przesądy mieszczące się w zdaniach ogólnych, powtarzanych na wiarę, bez rozumienia ich, a natomiast zalecał, ażeby w sądzeniu rzeczy opierać się na wynikach naukowych badań.

4) Naszą historyczną przeszłość, którą ogół uwielbiał bez krytyki, „Przegląd“ poddawał krytyce, niekiedy zbyt surowej i niesprawiedliwej.

5) Zrodziwszy się w epoce, która nastąpiła po czasach wyłącznego wpływu nas kraj duchowieństwa i szlachty, „Przegląd“ oba te czynniki osłabiał, torując drogę dla stronnictw demokratycznych.

Czytajcie dzisiejsze pisma postępowe, a znajdziecie w nich te same idee, te same kierunki, jakie przed piętnastoma laty ożywiały „Przegląd.“

A teraz zobaczmy na czem polega nowość naszego pisma.

1) Przedewszystkiem my chcemy wykonać, to co prasa „postępowa“ tylko zalecała, o ile naturalnie rady jej są praktyczne, a nam wystarczą siły. Jak niegdyś stosowano uczucie, tak my chcemy stosować rozum do spraw społecznych. Wychowaliśmy się pod wpływem zasad filozofii ewolucyjnej, spencerowskiej, i słuchamy jej wskazówek, nie zaś idealnej lub comtowskiej. Nie odrzucamy poezji dla nauki, ani poetów dla uczonych, ale każdemu przyznajemy właściwe miejsce.

2) Pracę organiczną i politykę wewnętrzną chcemy spotęgować jaknajbardziej. Pragniemy już nie tylko pisać o potrzebnych instytucjach, ale przyczynić się do tworzenia tych, które znajdą warunki bytu i rozwoju.

3) Poddajemy krytyce zdania i zasady nie tylko te, które wypowiadali konserwatyści, ale i te, w które dziś wierzą postępowcy. O ile to leży w zakresie naszej wiedzy, opieramy się na danych naukowych. Nie wierzymy w żadne powagi, ale... już ich nie szykanujemy.

4) Zgadzamy się na krytykę naszej przeszłości, ale — sprawiedliwą. Znamy ujemne strony historji, ale — nie chcemy zamykać oczu i na dodatnie.

5) Ponieważ materjały do utworzenia silnego stronnictwa demokratycznego już istnieją, więc — chcemy je tylko skupić. Nie widzimy zaś celu wojowania ze szlachtą i duchowieństwem, ponieważ pragnęlibyśmy przyciągnąć ich do siebie, w nadziei, że pomogą nam do pracy około podniesienia warstw ludowych, i wyprowadzenia ich z kolei na pole naszej historji.

Oto jest szkic tych różnic, jakie istnieją między nami i „postępowym“ obozem.

Tak panowie. Wy byliście teoretycy, my chcemy zacząć praktykę. Wy tylko zalecacie, my chcemy wykonywać. Wasza praca, zgodna zresztą z wymaganiami epoki była tylko negatywna, nasza chce i musi być pozytywną. Wy dopiero wołacie o naukę, my już słuchamy jej wskazówek. Wy nareszcie byliście realistami w pragnieniach, a idealistami w rozumowaniach, a my już chcemy być realistami do gruntu. Wy jesteście demokracją i liberalizmem w słowie, a arystokracją i despotyzmem w duchu, my — jesteśmy i chcemy być demokracją w duchu i w czynach.

Oto najogólniejsza treść naszego programu. Możemy jeszcze wbrew niemu popełnić setki błędów, z powodu braku sił lub wprawy, ale — już jesteśmy na nowej drodze.

My chcemy iść naprzód, wy zostaliście na miejscu: wy macie przeszłość, do nas należy przyszłość. Na dowód zaś naszej wiary i siły niech wam posłuży to, że kiedy wy i tak zwaną „starą prasę“ i „Nowiny“ traktujecie z namiętnością i lekceważeniem, my i tamtych i was traktujemy z szacunkiem; kiedy wy wojujecie frazesami, my cyframi.

Sam ten spór zresztą jest dowodem ogromnego postępu w dziennikarstwie. Poprzednicy nasi kłócili się o błędy drukarskie, my już dyskutujemy o kwestjach, należycych do socyologii i filozofii.

Podaliśmy w całości prawie artykuł Prusa, charakteryzuje on bowiem dość trafnie początkowy program warszawskiego „pozytywizmu“ — Prus jednak zdaje się nie dostrzegać, że program ten uległ znacznej dość zmianie „ewolucyjnej“ a „Przegląd Tygodniowy“, pisząc dziś „Jedno wyjaśnienie i parę objaśnień“ na powyższy artykuł Prusa, nie przyznaje się w zupełności do żadnego punktu, przytoczonego w artykule „Alea jacta est“ programu pierwiastkowego. „Przegląd“, nie schodząc z gruntu postępowych idei ogólnych, stara się uzupełnić je podobnemi ideami w zakresie stosunków społecznych i politycznych. W tem leży właśnie istotna „ewolucja“ „pozytywnego“ warszawskiego kierunku.

To zaś co pisze p. Prus, wygląda raczej na eklektyzm, niż konsekwentny rozwój zapatrywań pierwiastkowych.

Trudno nam bowiem zrozumieć, w jaki sposób prasa ma „wykonywać“ pewne zasadnicze programata, w jaki to ona sposób ma „tworzyć“ instytucje; co to jest „krytyka bezstronna“, nie opierająca się na żadnych zasadach, i do czego prowadzić może przyciąganie „szlachty“ i „duchowieństwa“, dla utworzenia „silnego demokratycznego stronnictwa“.

Program Prusa jest pewnego rodzaju oportunistycznym eklektyzmem, na podstawie którego żadne stronnictwo z nowszym, zasadniczym programem utworzyć się nie może.

Przy drodze.

Nowela

przez F. Tokarzewicza- Hoid'ego.

Po wietrze zmieniło się nad ranem.

Pocztylion z Kamienia, Tymko Zyzuń, gdy wyszedł przed świtem na dwór, nie dostrzegł na ziemi śladów oczekiwanego białego przymrozka. Żal mu się trochę zrobiło. Nowy jego kożuch miałżeby jeszcze tym razem pozostać na kołku?

Noc była szara. Drzwi z zewnątrz i ściany gospody okrywała wilgoć. Niebo było przyćmione; roziskrzone z wieczora gwiazdy, znikły obecnie za powłoką mgieł ciepłych, pod których okryciem miękkiem, spadającem ku ziemi, chaty spały snem twardym. Cisza zalegała okolicę; jedynie na wschód od Kamienia, od strony Steinau, rozchodził się odgłos czegoś podobnego do stłumionego turkotu żaren, obracanych omdlałą ręką ciemności.

— „To ten selmoski tartok niemiecki" — mruknął Tymko, zaciskając na sobie pod kapotą pasek swój rzemienny.

Na północ przed nim, w siwym mroku gęstniałytumany jakoby chmur czarniejszych, były to pagórki wsi Jeżowej, otaczające jej cmentarz wyniosły, uwikłany w drzewa rosochate. Jaśniej cokolwiek mżyło niebo od południa, zkąd Wisłoka nadsyłała tu zwykle, w dnie cieplejsze, wyziewy swe parne. Kto wie — myślał Tymko, czy jeno pod zimę jesień się nie zacznie na dobre... A no, czy nie słusznie? Lata tego roku nie zaznali ludzie. Zboże na pniu zgniło. Niechżeby choć człowiek miał czem westchnąć teraz po stracie...

— Pan Bóg je miłosiernym... zakonkludował w dobrej wierze Zyzuń, i jeszcze mocniej zacisnął na sobie rzemień. Poczem, splunąwszy na stojącą pod chlewem bryczkę pocztową, z wyrytemi na niej herbowem[1] znakami, zmierzał z powrotem ku sieni, w której był jego barłog z siana i słomy.

Zatrzymał się naraz.

— A bodaj cię! — rzekł, jak gdyby co sobie nagle przypomniał.

Spojrzał ku oknu sąsiedniej chaty, gdzie Maziarzowa mieszkała ze swą córką Baśką.

— Prosiła nieboga — mówił — żebym ją wczas obudził. Wystojała się wczora dzień cały w polu z tą swoją krowiną na słocie i wietrze, to i zaspać jej dziś nie trudno...

Przestąpił przęsło żerdzi, oddzielające gospodę pocztową od chaty. Podchodził ku oknu. Lecz wnet ponownie się tu zatrzymał, zawachawszy się.

— Ba! — gadał do siebie —Gdybyż! Zol byłby mniojsy. Ale nie. Łże jucha. Powiada, że w polu bydle Powilańczuka raz po raz do jej bydlęcia lezie. A ona do niego cy nie?

Kiwał głową przełażąc powoli napowrót żerdzie, i powiadając:

— Cysorz to jedno, okrom wielgich podatków źle zrobiuł, że dziewczętom do szkoły chodzić kazał. Nie prowadzi to do dobrego, nie. Nie kusiłaby Powilańczuka Maziarzowna, oj nie. Gdzie jemu, gdzie jej!

Raz jeszcze płot ku chacie przestąpił, i raz jeszcze wrócił, ważąc się w myślach, zbudzić dziewczynę, czy nie zbudzić.

Nareszcie zaklął.

— Ta czart z nią! Niech spi do południa. Wolęć jej dziś nie widzieć w polu, jak widzieć z nim. A jak Maziarzowa wałkiem ją kiedy co się zowie po plecach ściągnie, to mniej może będzie ludzi za serce chwytała...

Wszedł po tych słowach do sieni, i drzwi za sobą z łoskotem zamknął.

Zasnął. Spał jak wszyscy w Kamieniu spią zwykle: do dnia białego: — ani się poruszył z pościeli, kiedy w godzinę później skrzypnęły tylne drzwi w chacie sąsiedniej, a z nich wybiegła dziewka w bieliźnie, w czerwonej chustce na głowie i na ramionach, z dojnicą w ręku jednem, z nizkim stołkiem w drugiem. Wybiegła, poskoczyła ku chlewom, chyżo wyminęła bosemi nogami po kładce kałuże i błocko przy studni, z chlewa wyprowadziła na postronku krowę, przy płocie ją uwiązała, zamięszała w korytku przed nią słód i otręby, wyciągnęła wiadro wody, spłukała po kilkakroć dojnicę, spłukała później wymiona krowie i ręce sobie, podstawiła stołek, usiadła, i cyrkać mleko poczęła, — łokciem od czasu do czasu poprawiając włosy czarne, pasmami bujnemi wyłażące jej z pod chustki na twarz śniadą, drobną, na której gorzało dwoje oczu czarnych.

Brzask wstającego poranka, roztoczył już po tynkach i strzechach matowe swe światła. Blady odblask jutrzenki błąkał się chłodno po zabrukanych szybach okien i ogołoconych dokoła niwach, brudych lub martwo-zielonkowatych. Mgła poszła w górę, podcięta żywszą teraz z kolei falą powietrzną, która wpadając pod rozchylającą się u szyi dziewczyny koszulę, oblewała za każdym oddechem pierś jej szczupłą, jak nie donoszona jesień, a pulchną, ciepłą i świeżą, jak wczesna wiosna. Dojąc, Maziarzówna raz po raz błysnęła oczyma, to ku chacie matczynej, to ku poczcie.

Zyzuń spał. Zbudził się wtedy dopiero, gdy po wzgórzach Jeżowej rozległa się nagle trąbka pocztarska, głusząca echo bryczki parokonnej, która się galopem dziarskim niosła po tęgiej, twardej, równej drodz z Niska do Rzeszowa Zbudził się — lec dziewka tymczasem oddawna była już w polu... Czy sama?

Tymko się porwał z pościeli, zarzucił na siebie sukmanę i wybiegł czemprędzej przed gospodę pocztową, a ztąd ku chlewom. Krzątać się zaczął około bryczki. Żółtą była. Czerniał na niej ledwo dojrzały napis „Kamień-Sokołów"... Na oczyszczenie reszty, jużby i czasu nie starczyło. Trąbka, wpadłszy do Kamienia, powtórnie uderzyła przed chwilą, jak na alarm. Spóźnioną nieco się czuła dnia tego poczta powiatowa. W Nisku, za długo żegnano kogoś odjeżdżającego na Zachód...

Na próg sąsiedniej chaty wyszła właśnie Maziarzowa Zasępioną była i chmurną. Przyszedł wczoraj papier z powiatu; nowa bieda wlazła na kark. Krowy Baśka do cechowania nie zaprowadziła, bojąc się, głupia, rozpalonego żelaza. Płakała, psiawiara, że ranę krowie zrobią, że się do niej pan cechmistrz z żelazem umizga... Jakby to rana w jesieni co szkodzi! Wypłakałaż teraz! Sztrof będzie niechybny. Pan cechmistrz nie daruje tym razem...

— Jak się miewacie Tymku — ozwała się kobieta najuprzejmiej do pocztyljona — Czy to wy dzisiaj z powrotem pocztę powieziecie do Niska?

— A ino...

W kraju tym, w narzeczu ludowem, „a ino" znaczy tyle co: a jużciż, chybażе, bardzo być może, tak jest, niewiadomo, no więc cóż?

— A ino! — powtórzył... Jeślić tylko pan Bóg pozwoli z Sokołowa teraz wrócić— dodał.

— O la Boga świętego! i dlaczegobyśta wrócić nie mieli?... Czy jakie nieszczęście? Czy drogę znowu zalało?

Zyzuń się nabuńduczył.

— Owa! — powiedział — Zalejta-tu, bądź ta mądry, tę drogę Brzozińskiego! Wystarczy póki świota. Ale każą może oto jechać dalej. Wiezą kogoś, z Paryża aż.... umizgronta jakiegoś... djobeł go wie!...

— O Jezusie Nazarański! zawołała kobieta.

Lecz nic więcej nad to powiedzieć nie umiała.

„Poryż! umizgront!" — zapewne, wielkości w tem mogło być bezmiar, więcej może, niż w nadętej minie Tymka, lecz nie ulegało wątpliwości, że biednej kobiecie własna przedewszystkiem bieda dokuczała srodze a uczoną Maziarzowa nie była. Podjęła tedy wraz ze swojej beczki, tonem najzwyczajniejszym, zbliżywszy się do pocztyljona;

— Bo widzita, jabym was prosiła, gdy pojedzieta do Niska, żebyśta też o mojej krowinie pomówili z panem cechmistrzem, ealbo do pana Starosty poszli, pogodoli...

Tymko się na nią wyzwierzył:

— A juzciż! zaroz! Za wos będę chodził, za wos ciągle staroł się... kupowoł dla wos! Za wos moze będę biegoł... jak Baśka za Powilańczukiem!.... — w....

Opamiętał się, poprawił się:

— Jutro z rona o tej porze! — dokończył.

Trąbka zadzwoniła znowu, tuż prawie nad dachem poczty kamieńskiej, głusząc w Zyzuniu refleksje dalsze, być może lepsze. Refleksje t , w każdym razie, złagodniały nie pierwej, aż Tymko konie z chlewów wyprowadził. W nowym był kożuchu. Przychylniej też rzeczywiście skinął tym razem głową ku Maziarzowej, która na próg swej chaty upokorzona odeszła, i ku nadjeżdżającym teraz patrzyła z uwagą, na jaką stać jeszcze było jej oczy zmęczone i chmurne.

Ścisnęła po chwili ramionami litośnie.

Byłoż na co patrzeć, Jezusie Nazareński.

Na bryczce z Niska siedział człowiek czarny, chudy, z bródką koźlą, cokolwiek do żyda z twarzy podobny, w burce bronzowej chłopskiej, z kapiszonem prostym, w kapeluszu ordynarnym, ulanowskim może. Tylko że w okularach sinych. Przy nim był chłopczyna lat siedmiu, ośmiu, ziębnięty, w czapce watowanej, w paltocie nowym, sutym, — co prawdopodobnie sprawiało, że malec się trzymał równo, sztywnie, jakby igłę połknął.

Nic więcej. Nic a nic. Z tyłu za podróżnymi spoczywał na pudle bryczki worek skórzany, stary, sznureczkami u góry podwiązany.

Przesiadać na powóz kamieński nie było potrzeby, czy też, być może, nie było możności. Konie tylko przeprzężono. Ta sama bryczka szła dalej.

Człowiek czarny nie patrzył w żadną stronę. Zadumany był. Po chwili nachylił się tylko do swego chłopca i spytał:

— As-tu toujours mal a la gorge?

— Nie, ojcze — odpowiedział dzieciak głosem ochrypłym, po polsku.

I tyle.

— Takiż to i umizgront! — zauważyła kobieta, cofająca się powoli za próg swej chaty, z rozczarowaniem jakiemś, nie pierwszem zapewne w jej życiu.

Jakby atoli natomiast wyobrażała sobie prawdziwego „umizgronta“ — nie wiadomo.

Pocztmistrz wyniósł po chwili z gospody korrespondencję. Powiedział podróżnym „dzień-dobry“, otworzył z tyłu powozu rygle pocztowego pudła, jedne pakiety papierów ztamtąd wydobył, drugie tam zasunął, zaryglował pudło napowrot, i rzekł głośno:

— Gotów!

Odkłonił się na ukłon podróżnym, i stał jesze chwilkę z głową odkrytą. Padać zaczynał deszcz mglisty, cieńki. lecz żywy.

Tymko wgramolił się na kozieł. Przed chwilką, skoczył on był do chaty naprzeciwko. Fajkę może tam zapalił. Mruczał teraz pod nosem, poprawiając siedzenie pod sobą:

— Popomiętos-ty choć roz!... Pszia-mać jego!

Konie urznęły wnet dziarskiego kłusa.

Zabudowania kamieńskie, ciągnące się długiemi szmatami strzech łatanych, obmokniętych od tygodnia, popłynęły natychmiast za odjeżdżającymi wstecz, ku Jeżowej, w stronę opuszczonego Niska, jako dwie strugi wspomnień monotonnych, skołatanych, tułaczych.

Zagrała trąbka na pożegnanie. Nie było ono pierwszem. Czy było ostatniem?... Na to pytanie, podróżnik, kaptur sobie czarny na oczy narzucił...

Przed sobą widział już tylko wzmagające się mgły i szarugi, i dalszy ciąg drogi tułaczej, bezdomnej..

Dzieciak kaszlał, obwijając kołdrą czerwoną nogi ojcu i sobie.

* * *

Kraj tu równy, lekko falisty.

Lasy, z początku gęste i stłoczone, rozchodzą się około Sokołowa, niby wrota rozwarte na świat szeroki... wolny... głodny i chłodny.

Jak na imię temu krajowi?

Inteligencja miejscowa zwie go Sybirem galicyjskim.

Czemu? — Nie bez powodów podobno.

Cywilizacyjnie, nie wiele o tych stronach wie dotąd geografia powszechna. Dla publicystyki zachodniej ważą one na mapie Europy nieledwie tyle, ile na mapie Afryki ważą odkrycia naszego rodaka Rogozińskiego. Nie mówi się wprawdzie o nich, że to są ziemie nie znane, terra incognita, gdyż już Strabon, zdaje się, coś podobnego o nich nadmienił. Natomiast, ilekroć za dni naszych przyjdzie się o nich wspomnieć Malte Brunowi lub E. Reclusowi, powiadają oni wprost: „terres mal connues, presque incultes.“

Presque incultes! To nie zupełna prawda. Są tu powiaty całe, należące do rodzin możnych, nie polskich, któreby się bynajmniej nie powstydziły stanąć do porównania, pod względem swej uprawy, z gruntami na Szlązku, lub nawet w Hannowerze. Dominium np. Niskie, obejmujące dwa niespełna powiaty lasów i ziemi ornej, należy pod każdym względem do wzorowych. Służba, administracja, książki rachunkowe — są tu wprawdzie niemieckie; lecz za to gospodarka, zabudowania jej, machiny, konie tartaki, uprzęże — czyste jak gotówka miljonowa. A posiadacz, acz hrabia, i z imienłem dobrze znanem w dyplomacji francuzkiej, prawie nie złazi z konia, chyba na bryczkę; widzisz go w kurzu i pocie od rana do wieczora, w zimie i w lecie.

Co do reszty — jesto kraj nasz... Sanockie. Tak przynajmniej zwie ten zakątek hr. St. Tarnowski w pięknym życiorysie ks. Juljana Leszczyńskiego, niedawno zgasłego kapłana tych stron, w której to monografij tyle jest tylko mowy o gospodarstwie, o przemyśle, o zamożności parafialnej tych ziem, ile tego wszystkiego zmieścić się może na z romańska wyszywanym ornacie... I tyleż tylko jest podobno i w rzeczywistości. Bądź-co-bądź, lud prosty nic a nic nie wie w Sanockiem o owem „Sanockiem.“ Na pierwszej czy na ostatniej popasowej stacji, zarówno prywatny faktor w Rzeszowie jak uprzywilejowany przewoźnik w Dzikowie, jednakowo odpowiedzą podróżnemu na zapytanie o nazwę tych stron, — stron zkądinąd, (gdyby to od nich zależało) bardzo gościnnych i miłych

— Je to prosę pona Syberyja galicyjska

I zaiste, zasłużony to ma być tytuł. Prowincja ta, wetknięta ku północy, w nieestetyczny zarys dolnych części Kongresówki, jako klin ostry, a stercząca na galicyjskiem tułowiu, u krakowskiej jego główki, gatunkiem „oślego ucha“, źle jest, jak zapewniają widzianą w sferach „wyższych“. Ilekroć i gdziekolwiek — powiadają — urzędnik zbyt twardo kark trzyma, lub też, nie dość głęboko zapada na nogi przed lada postumentem reprezentacji autonomicznej, natychmiast w „wysokim wydziale“ kraju polsko ruskiego (tak chce mieć autor „Polityki nerwów“) znajdzie się referent, który do ucha swego superiora szepnie: — „To posłać go na Sybir“... I rzecz szczególna! Pomyłka w tłumaczeniu tej alluzji na język niemiecki, nie trafia się nigdy. Zawsze urzędnik zanotowany w ten sposób, znajdzie w swym formularzu, na marginesie, wskazówkę następującą: „nach Raniszőw, Kolbuszów, Ulanów, Nisko oder Tarnobrzeg“.

Tyle wieść gminna niesie. Cóż mówi historja?

Historja utrzymuje, że jest to istotnie Syberja, lecz bynajmniej nie galicyjska, a w ogólności: nasza, polska.

Za dobrych czasów króla Olbrachta, i nawet za gorszych cokolwiek, za czasów królowej Bony i Maryny Mniszcówhnej, kraj ten był prawdziwym cul de sac Rzeczypospolitej. Wiadomo, co znaczy francuski ten wyraz. W naukach średniowiecznych zachodniego rycerstwa, „cul de sac“ było to podziemie, była to baszta dolna, wnętrze ciemne, dokąd ściekały niepotrzebne rzeczy z piętr górnych, i dokąd sadzano niepotrzebnych społeczeństwu ludzi, a nareszcie i samych

baronów. Czemś podobnem stało się Sanockie hrabiego Tarnowskiego w starych naszych czasach. Dzisiejsza ludność tego kraju z wierzchu do niepoznania już mazurska, w głębi była mięszaniną żywiołów najróżnorodniejszych, ściągniętych ze wszystkich krańców świata: z pod Wiednia, z pod Moskwy, z Czech, z Węgier, z Wołoszczyzny, z Krymu, z Rusi włodzimierskiej, z Litwy jadźwińskiej. Różnica ta tylko, odnośnie do cul de sac zamków zachodnich, że owa ludność była tu potrzebną, i że ją osadzano „na woli.“ Byli to jeńce Rzeczy pospolitej. W głąb tej puszczy sandomierskiej, przerzniętej niegdyś jedynie błyszczącym sierpem Sanu, dziś gdzie ino spojrzysz ogołoconej z wianków zielonych siekierą niemiecką, prowadzono za dawnych czasów brańców królewskich i wojewódzkich, z północy i południa, ze wschodu i zachodu. Oni to strzegli lasów, oni uprawiali pola... I nawzajem — bór był dla nich strażnicą, — ale i chatą, więzieniem i przytułkiem. Żadne szczególne obwarowanie potrzebnem tu nie było: nie było tu, z tego powodu wcale ani zamków, ani okopów, ani „horodyszcz“, jakie wznoszono na właściwych „kresach“ polskich. Wnętrze to było, a nie „Ukraina“. Wnętrze nie lada, istne jelita Rzeczypospolitej! Nie lada kto do nich się dobrał. Raz czy dwa Jadźwing, później Tatar, zapędził się wprawdzie na te „jamnice“, na te „zarbnie“, na te „wydry“, na te „turbie“ na te „pławy“, na te „warchoły“, na te „niska“, na te „nawiry“, na te kępy“, na te „żabna“... Zapędził się, ale zaplątany w tysiączne zarzecza, osieki i ostępy „klonowe“ „swierczynowe“, „cisowlasowe“, „bukowinowe“, „modrzewiowe“, ugrzązł raz i bez śladu zginął*) pośród tych topieliski moczarów, dokoła których lub na ktorych rozsiadły się następnie różnoplemienne kolonje, „maziarzów“, „kołodziejów“, „kowalów“, „porębników“, i imionami już dziś tylko przypominające swe pochodzenie z rodu „moskalów“, „wołochów“, „turków“, „szwedów“, „cyganów“, „czechów“, „rusinów“. Wszystkie te dzikie „Zaleszany“, „wielki“, „woliny“, „nowe-wsie“, „nowiny“, wzajem się pilnowały, poprzegradzane będąc bojarskiemi lub mazursko-szlacheckiemi zaściankami Dąbrow wielkich, długich, małych, Dąbrowek prostych, krzywych, wązkich, wysokich, Lipic, Sosnowic, Rzeczyc, Grobli, Bojanów, Dębic. Były to naturalne przęsła i warownie tej polsko-syberyjskiej matni, okrytej ciemnym gąszczem lasów odźwiernych, ujętej w obcęgi Wisły i Sanu, a poprzecinanej wewnątrz, w kierunkach rozmaitych, jątrzącemi się i niepewnemi nurtami rzek i rzeczułek: Łęgu, Jeziornej, Zapawy, Przyrwy, Osi, Rudej, Trześni, Mokrzycowej, że już pominiemy zawiłe pozostałości Starego-Sanu, rozpryśnięte za dni naszych na dwadzieścia odnóg i kawałków, których żaden topograficzny rysunek ująćby nie zdołał w linje jakiegokolwiek prawidłowego biegu — lub też, wyrażając się ściślej po galicyjsku — w linje jakiegokolwiek rozumniejszego zastoju.

Taką jest ta ziemia.

A ludzie na niej?

O ludziach... czemuż nie mogę krótko powiedzieć z poetą: „znałem ludzi — dwoje“...

Nie, nie znałem ludzi „dwojga“, ach znałem tu ludzi dużo: dobrych, szlachetnych zacnych, których wspomnienie snuć się i mięszać we śnie będzie ze wspomnieniami stron rodzinnych, dawno opuszczonych — długo, długo: do śmierci już za wrotami.

Nie, nie spotkałem tu ludzi dwojga. Spotkałem tylko serce jedno — kwiatek jeden... Nawet nie kwiatek, ziarnko jedno...

(Dokończenie nastąpi)

*) Nie zupełnie bez śladu co do Jadzwingów np. miejscowość Jażwinie około Grębowa, jeżli nie etnologicznie, to może choć etymologicznie, pamiątka to staro-litewskich najazdów.

Nie budźcie jej!

Nie budźcie jej, niech spi!..
Przy wiejskich pieśni miłem cichém brzmieniu.
Usnęła o zachodzie słońca —
Z promieni powstał w krzewów cieniu
Archanioł marzeń na kształt gońca
I składa skrzydła na jej skroni...
Gdy wśród lipcowych kwiatów woni
W szesnastej wiośnie spi!

Na złotych arfach gra
Skrzydlatych duchów zastęp biały —
I wstaje pałac z mgły różowej,
W djamenty strojny i kryształy,
A u werandy marmurowej
Trubadur klęczy uśmiechnięty
I patrzy na ten świat zaklęty —
I serenadę gra!

A przez rozkoszny sen
Młodzieniec jej podaje ręce —
I w takt do czułej pieśni zwrotki
Na świeże usta jej dziewczęce
Gorąco złożył całus słodki!
A z pocałunku w lot się snowa
Przeczysta miłość księżycowa —
Najsłodszy życia sen!

Niech w tej miłości spi,
Nim życie weźmie jej wezgłowie,
Na którem teraz biedna marzy!...
I nim trubadur jej wypowie,
Że będzie żyła bez ołtarzy,
Że będzie z smutnem chodzić czołem,
Że jest samicą nie aniołem!...
Nie budźcie jej, niech spi!

Wład. Stebelski.

Włodi.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

Ciekawem jest zjawiskiem, że w kilku ostatnich dziesiątkach lat objawił się silny bardzo zwrot w literaturze. Poezja ustępuje prawie zupełnie miejsca powieści, i to powieści z gruntu zmienionej, niepodobnej ani do Walterskotowskich romansów, ani do długich opowiadań o subtelnie a szeroko obmyślanej intrydze. Czyżby ten zwrot pochodził z wyczerpania się kastalskiej krynicy, czy z owego tak powszechnie głoszonego znamienia wieku — prozaiczności i praktycznego zmysłu, — trudno orzec odrazu. Ale jeżeli pewnem jest zdanie, że piśmiennictwo zdrowe, ściśle zespolone z kierunkiem swego społeczeństwa, jest zawsze wyrazem jego uczuć i prądów w niem nurtujących, to przyczyn wiele by się nasuwało.

Przyszły one logiczną drogą w rozwoju ducha ludzkiego.

Potężny prąd poezji, który od końca przeszłego wieku wziął na barki nowożytne uczucia i tętna społeczne, w przeciągu długiego szeregu lat wydał geniuszów, których imiona niezatartem piętnem naznaczyły się w księdze dziejów. W nieprzebranej twórczości sięgneli oni w tajnie duszy, wyczerpali do dna wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek drgały w piersiach ludzkich, i przemienili je w perły poetyczne swem czarodziejskiem dotknięciem. Zacząwszy od tragicznego zwątpienia w niemoc ducha ludzkiego, które Faustowi kładzie w usta słowa: „Da steh ich nun ein armer Thor, und bin so klug als wie zuvor,“ przebiegli całą szeroką skalę tajników człowieczego serca, wyśpiewali wzniosłe uczucia ojczyste — wglądneli wgłąb miłości, tęsknoty. Od sarkazmów Heinego i melancholijnego szału Musseta, ciągnęła poezja w mistyczny, legendowy świat przeczucia i proroczej ekstazy. — Dla nas nic nie zostało na tem polu, po Gustawie, Werterze i całym szeregu ich braci — trudno bez powtarzania dawnych motywów opisywać cierpienia zbolałego serca, a Faust, Manfred, Konrad i Kordjan zamknęli szereg Tytanów, idących przebojem w niebieskie przestwory. Mistycyzm przeleciał cicho jak cień i bezpowrotnie, bo czasy, które go swem omdlałem tchnieniem do życia budziły, dawno już przeszły w świat tradycji.

Na miejsce filozofii spekulatywnej, która swym idealnym, marzycielskim charakterem dziwnie nadawała się na kanwę do dzierzgania złudnych obrazów fantazji, wystąpiło chłodne badanie.

Nauka przyłożyła brutalnie ucho do dziewiczej piersi natury, wsłuchała się w jej tajniki i skalpelem rozdarła jej łono. Dawne

widziadła rozpalonej głowy, ustąpiły miejsca surowym badaniom in anima vili.

A tymczasem przyszły nowe ideały, ale już wyrodne dzieci owych cudnych marzeń, które do snu kołysały Helladę, które nęciły na wschód żelazem okute szeregi z nad Renu i Dunaju, które jadem i zgrzytem napełniały serce Byrona, ideały chłodne, zimne, nieubłagane, zbudzone do życia zmianą stosunków społecznych, ideały trzeźwe aż do przesady, gniotące pięścią twardą potrzeby i życia pieszczone utwory naiwnej wiary, ideały które wywołały skargę na usta poety: „Przeminął czas, przeminął czas, tęczowej cudów powieści,— już opustoszał święty las — i czarów w sobie nie mieści.“ „Już w nich nie mieszka żaden duch — Faun płochy albo Dryada — na skrzyżowaniu ciemnych dróg, — żadne już widmo nie siada.“

Tak więc z jednej strony poezja wypowiedziała swe ostatnie słowo w danej epoce, i zamilkła — nie wiadomo na jak długo — z drugiej strony postać Europy się zmieniła.

Wiek XIX powołuje do życia nowe żywioły, które kosztem krwi własnej zdobywają sobie nowe prawa, a przez to następuje wielka zmiana dekoracyj. Przewrót wywołuje nowe zasady, i do nich nagina się wszystko; duch ludzki raz złamawszy pęta zakazu, rwie się zębem krytyki na wszystko, i z wielkim stygmatem postępu na czole, druzgoce jak burza, bez miłosierdzia wszystko, co mu pęta chce nałożyć — prąd badawczy szeroko rozlewa się w koło — olbrzymiejąc coraz bardziej i zdobywając sobie nowe łożyska i ujścia. Ścierają się więc dwa motywa: — z jednej strony występuje pewne niedowiarstwo, skeptycyzm w obec utworów traktujących bezwzględnie uczucie, samo dla siebie, bo ten pierwiastek zużył się i zbladł przez zbytnie spowszednienie,— a z drugiej strony staje zmieniony bieg stosunków, z całem bogactwem nowych kształtów i myśli. Kolizja tych dwóch kierunków rodzi nową gałęź sztuki: powieść, opartą na podwalinach zupełnie różnych, jak dawniejsza powieść, czerpiąca swe środki i przedmioty z szerokiej dziedziny codziennych zjawisk powszedniego życia, i wpływem tego otoczenia tłumacząca objawy tego życia; jednem słowem rodzaj piśmiennictwa, który powszechnie nosi nazwę realizmu — nazwę nadużywowaną często, a częściej potępianą.

Zanim przystąpimy do jej scharakteryzowania, weźmy pod uwagę pewną okoliczność, która nam to zadanie znacznie ułatwi.

Pewną jest rzeczą, że wiele, może większa część naszych sądów i wyobrażeń nie pochodzi z własnego doświadczenia, z naocznego zgłębienia zjawisk, ale wytwarza się powoli z tysiąca co dzień spotykanych obrazków, rycin, olejodruków i opisów. Wielu z nas nie widziało np. morza, a jednak każdy umiałby opowiadać wiele o słonem tchnieniu porannego wiatru nad Salaminą, o perlistej pianie morskiej, o wschodzie krwawej tarczy słonecznej, gdzieś koło skalistej Kaprei, o szumie wzburzonych fal oceanu, — bo poeci, malarze, trud naocznego sprawdzenia wzięli na swoje głowy, i w zupełności wywiązali się z tego zadania. To samo da się powiedzieć o tworzeniu w naszych czasach, tak płodnych w artystyczne wielkości. Materjał gotowy w leksykonach i kollekcjach rycin — pozszywać go tylko, według tej lub owej szkoły — otoczyć grubą mgłą idealnej tajemnicy, lub nastrzępić kilku realnymi figurami o podartej koszuli, i utwór artystyczny już gotowy, bez sięgania w głąb prawdy życiowej, bez naocznej obserwacji. To utwór wcale nie zły a przecież czegoś mu brakuje, czegoś, co takiemu n. p. Wereszczaginowi nadało dziką grozę i siłę przykuwającą. U niego na szarej brudnej płachcie śniegu, szereg wstrętnych, ohydnych ofiar wojny, kupa trupów o bydlęcych, nieogolonych twarzach, w dziurawych szynelach, mówi całą przejmującą prawdę i szarpie najnieczulsze nerwy — bo on malował to, co widział naocznie i co w duchu długo przetrawiał. Gdy przeciwnie obraz bitwy ze sztabem oficerów świetnych i nieodstępnym trębaczem, jaskrawe dzieło jakiegoś spokojnego widza manewrów, nie wywoła żadnego wrażenia, chyba kilka wykrzykników ze strony dam znajomych.

Więc nie bez przyczyny świat artystyczny dzisiejszej doby wyrzekł się komunału i sztucznego życia, ale dzieje sztuki w logicznej konieczności zbliżył do natury, do studjowania jej przejawów.

Dziś krytyka krok za krokiem, w każdym wielkim nieśmiertelnym utworze dopatruje się tego prawa, że obserwacja a nie sama intuicja przypina skrzydła geniuszom. To jest podstawą powieści dzisiejszej. I ona dochodzi do szukania pod nogami realnego gruntu. Jest to pierwsze odstąpienie od dawnego pisania powieści intuicyjnie, z samej fantazji.

Słusznie też jeden z krytyków Gustawa Flauberta, najcelniejszego przedstawiciela realizmu — powiada: „Nic bardziej sztucznego nad owe sentymentalne powieści z epoki romantycznej, kiedy życie człowieka oprawione było w ramki artystycznego obrazu, w którym świat zewnętrzny żywy, czy martwy, tyle tylko zajmował miejsca, ile autorowi było potrzeba do uwydatnienia charakteru osobistości głównych. Tam wpływy nie grały żadnej prawie roli. Ludzie byli prawdziwymi bohaterami — działali w myśl swojej woli i zwyciężali przeszkody materjalne z taką samą łatwością, jak i własną naturę. Każdy krok ich był nowym tryumfem, każda myśl czynem. Tam robili oni co chcieli, w powieści realistycznej przeciwnie działają tak, jak im każą nerwy, temperament, wychowanie, charakter, świat zewnętrzny, okoliczności, i ta cała masa drobnych wpływów, które się składają na utworzenie całości życia. Osoby drugorzędne, nie mogą już dziś zachowywać się biernie, ponieważ autor wprowadza je dla nich samych, a nie jak przedtem dla oświetlenia jednego charakteru. Każda z nich działa na swoją rękę, i powieść przez to o tyle traci na palącym interesie, o ile zyskuje na prawdzie.“ Dla przekonania się o tem, weźmy pierwszy lepszy przykład. I tak: w Pani Bovary daje Flaubert obraz kobiety— która padła smutną ofiarą lekkomyślności, nudy i temperamentu pełnego pożądań i tajemnych zachceń. Utwór ten jest powszechnie głoszony za nie moralny. Kto pierwszy z tem zdaniem wyrwał się, i czy tak jest rzeczywiście, to nas obecnie nie obchodzi. Należy tylko nawiasem nadmienić słowa Sygietyńskiego: „Pani Bovary nie jest trucizną, brak jej do tego chorobliwego sentymentalizmu, zajmującej intrygi i uroku tajemnicy,“ i dodać, że Flaubert to dzika normandzka natura, o budowie olbrzymiej, o umyśle głębokim, surowym, jednem słowem kamienny charakter, któryby dla sensacji i draźnienia ludzkich nerwów nie upodlił wspaniałego pióra.

Otóż uderzający jest sposób, w jaki autor zakreślił główną osobistość, żywo i plastycznie wychylającą się z kartek powieści. On o samej Emmie nie wiele więcej mówi, jak o innych osobach mniej ważnych, nigdzie nie pozwolił sobie uwag osobistych, w jakich rozpływa się zwykle każdy utwór pani Sand lub nawet Balzaka. Tylko ze ścisłością, której nic nie szkodzi lakoniczny ton reportera, opisuje nam wpływy, jakie od dzieciństwa rzeźbiły kapryśną, pożądliwą naturę bohaterki. Dowiadujemy się od niego, jak po śmierci matki odwiózł ją ojciec, prosty fermier, do klasztoru, jak: „żyjąc bezustannie w ciepłej atmosferze klas i wśród tych kobiet o bladej cerze, które nosiły różańce z krzyżem miedzianym, powoli zadrzemała ona w tem mistycznem omdleniu, co wydziela się z woni ołtarza, świeżości kropielnic i migotania świec kościelnych. Dla umartwienia raz próbowała zostać przez cały dzień z postem.“ A dalej wprowadza autor nowy wpływ, działający na rozczarowany umysł dziewczyny. Stara romantyczna panna, kuzynka biskupa, śpiewa pannom w klasztorze sekretnie, dawne ballady: „Były tam damy prześladowane, które mdlały w pawilonach pocztylioni zabijani na każdym popasie, konie padające, ponure lasy, bicie serca, przysięgi, łkania, łzy i pocałunki, łódki przy świetle księżyca, mężczyźni dzielni jak lwy, łagodni jak baranki, cnotliwi jak nie jest się w ży-

ciu, a płaczący jak fontanny.“ Potem ta istota obracająca się w świecie marzeń tajemnych i kontemplacji zmysłowej, wraca do codziennego życia folwarcznego, do rubasznego ojca i wychodzi za mąż za człowieka trywjalnego, prozaicznego, za skończonego głupca. Choć to figura zupełnie podrzędna dla powieści, autor dużo poświęca jej miejsca; poznajemy ją dzieckiem niezgrabnem, potem towarzyszymy w rozwiązłem życiu na akademii, zaglądamy nawet w jego pożycie z pierwszą żoną, a wszystko dla tego, żeby uczynki Emmy lepiej sobie tłumaczyć wpływem charakteru męża. Taka para żyje w małomiejskiej, dusznej jednostajnością atmosferze, którą nam autor równie szeroko i mistrzowsko opisuje, jakby szukając w tej gromadzie poczciwców zewnętrznych czynników dla psychologicznego obrazu p. Bovary. Ona się nudzi wśród tych przemysłowców i aptekarzy, którym nigdy serce dla poezji nie zadrgało; żaden z nich nie umie robić szpadą, ani grać na gitarze, więc ona umiera z nudów i jednostajności. Jeden bal w arystokratycznym eleganckim zamku, budzi w niej wszystkie pragnienia, burza szaleć zaczyna, i Emma leci jak po równi pochyłej, do zaparcia się obowiązku., do złamania wiary, w kałużę upadku. Wreszcie łyżka arszeniku kończy smutne jej dzieje. Lecz tu jeszcze powieść się nie kończy, choć bohaterkę w pogodny, majowy dzień, w cieple złotych odblasków wiosennego słońca, poniesiono na cichy spoczynek.

Bo i w życiu nie na tem koniec. Autor maluje nam więc dalsze koleje życia małomiejskiego, rozpacz łatwowiernego męża, obojętność bezduszną dawnych wielbicieli Emmy. Ale mąż odkrywa listy nieboszczki, łuska spada mu z oczu. Pojedynku żadnego ztąd nie było; ludzie tej miary nie sta ą na mecie. Flaubert dobrze o tem wiedział. Złamany życiem, nie żywi już żalu do nikogo. Wina to fatalizmu: „Nazajutrz— mówi autor, mała córeczka znalazła go nieżywym w altanie. Miał głowę opartą o mur, oczy zamknięte, usta otwarte i trzymał w rękach długi kosmyk czarnych włosów.“

W tej powieści autor, nitka po nitce, chwyta najdelikatniejsze wpływy, nie uroni żadnego objaśniającego szczegółu, nie tłumaczy sam nic i nigdzie: on patrzy i notuje, a my sami rozumujemy. W rezultacie mamy powieść, może jedyny w swym rodzaju a typowy wzór realizmu. w którym spotykamy wszechstronne zestawienie wszystkich czynników, kształtujących charakter ludzki, i bezstronne opisanie toku wypadków. Widać jak na dłoni, że to co się stało, nie stało się dlatego, że autor tak sobie z góry założył, lecz że tak stać się musiało, że pewien szereg przyczyn koniecznie musiał takie wywołać następstwa.

Taka empiryczna, chłodna metoda, redukująca dawne fantastyczne wycieczki do sumiennego konstatowania] przejawów życia, ma jednak w sobie porywający urok głębokiej prawdy, a skąpe szafowanie podmiotowych wykrzykników, zastępuje genialnie podchwyconymi rysami, wprost z życia przeniesionymi nam przed oczy. Tak np. w powieści Julia de Trecoeur w epizodzie końcowym rozszalała hohaterka, rzuca się na koniu w przepaść bezdenną. Mąż, który ją kochał bez granic, patrzy na jej śmierć. Czy wybucha on w patetycznych tyradach? Nie! Zatapia tylko paznogcie w ramię przyjaciela z konwulsyjną siłą, i stoi niemy, blady, zapatrzony w przerażające widowisko. Ten prosty ruch lepiej tłumaczy stan jego duszy, niż 10 kartkowa analiza osłupienia.

Mamy więc zasadnicze cechy nowszego rodzaju powieści. Dalsze wszystkie wynikają z nich bezpośrednio A zatem, najprzód upaść musi owo wcielanie ideałów i doktryn wyrozumowanych axpriori, w postacie bohaterów lub heroin, wobec spokojnej obserwacji wszystkich włókien, składających się na obraz charakteru żywego. Jednostronne typy usuwają się na rzecz żyjących w całej pełni ludzi, i to nie wyjątkowych ludzi.

Z pomiędzy najcelniejszych realistow może jeden Daudet najwięcej od tej zasady odstąpił, to też w postaciach jego razi niewspółmierność pewna, wzgląd na konwenans i dobry smak według reguły. Ta literacka dyskrecja dla egzotycznych czytelniczek z przedmieścia St. Germain, wiele ujęła krwi i kości kreacjom byłego sekretarza księcia de Morny. (D. c. n.)

Obudzenie sumienia.

Nowela hiszpańska.

W ciemną, zimną noc 1834 r. mocne kołatanie do drzwi przebudziło staruszkę, zamieszkującą biedną chatkę pirenejską, przyczepioną jak gniazdo ptaka, do rozpadliny skały. Jednocześnie usłyszała znany sobie głos: „Otwórzcie matko Amadeo! To ja, Piotr Zarga. Przynoszę wam wiadomość od waszego męża.“

Staruszka zapaliła łuczywo, i wyszła z niem do sieni, której nizkie drzwi zamknięte były na mocną drewnianą zasuwę. Oświetliła mały czworokątny otwór, wyrznięty w ścianie, i ujrzawszy w nim wyraźnie znajomą twarz Piotra Zargi, bez wahania odsunęła zasuwę. Zaledwie jednak drzwi się rozwarły. Zarga rzucił się gwałtownie na nią i powalił na ziemię. Przy świetle łuczywa ukazały się mundury hiszpańskich żołnierzy. Starą w oka mgnieniu związano i zatkano jej usta. Potem wszyscy weszli do nizkiej, dusznej izby, w której dogasający na kominie ogień błyskał chwilami, i jaskrawym blaskiem oświetlał poczerniałe belki pułapu i ubogie sprzęty.

W kącie po za kominem, stało nizkie łóżko, usłane skórami o długiej miękkiej sierci, a na niem spał mały chłopczyk.

Zbudzony odgłosem kroków i szczękiem broni, chłopczyna wyskoczył z łóżka. Z niemą trwogą patrzył swemi wielkiemi, czarnemi, szeroko rozwartemi oczyma, na gromadę obcych uzbrojonych ludzi. Ujrzawszy pomiędzy nimi znajomą twarz Zargi, przytulił się do niego, jak pisklę, szukające schronienia pod skrzydłami matki; lecz Zarga odepchnął go szorstko i wyrzekł groźnie kilka słów w języku baskijskim, wskazując mu przytem, nakazującym gestem łóżko. Chłopczyna wskoczył na nie w oka — mgnieniu, i z przestrachem zasunął sobie aż na głowę wełnistą skórę, która mu za kołdrę służyła.

Tymczasem żołnierze dorzucili kilka drewek na ogień, i zasiedli dokoła, grzejąc swe zziębłe ręce. Było ich jedynastu, razem z dowódcą, który siadł za grubo ociosenym drewnianym stołem, wetknąwszy palące się łuczywo w otwór, umyślnie na to zrobiony.

Wzrok jego utkwiony był badawczo w Zargę.

— Jesteś więc pewny, że ich złapiemy w tej jaskini? zapytał go wreszcie.

— Najzupełniej — odrzekł Zarga. — O północy Czterolistek będzie mnie oczekiwał w jaskini. Godzinę więc możemy jeszcze tu odpocząć, a za dwie godziny dostaniemy się do ich legowiska. Ale ścieżka tam niebezpieczna, znana tylko śmiałym górskim myśliwym. Dla waszych nie wprawnych nóg, będzie to ciężka praca. Nie obejdzie się bez sznura!

— Nie troszcz się o nas! Raczej zważaj sam pilnie na drogę! Wiesz, jaka cię czeka nagroda, jeśli się dzisiejsza wyprawa powiedzie. Lecz przysięgam ci, jeźli chcesz nas wprowadzić w jaką zasadzkę, pierwszy przypłacisz to życiem.

— O! gdybym jeszcze dotychczas służył sprawie Basków, z pewnością postarałbym się o lepszą niż wy zdobycz. Nie zadawałbym sobie tyle pracy i mozołów po to tylko, aby zgubić jedynastu Hiszpanów. Mówiłem już wam przecie, że nienawidzę teraz swych dawniejszych towarzyszy, więcej, niżli wy sami.

— No dobrze — dobrze! Tymczasem moje dzieci, odpocznijcie sobie godzinkę, i nabierzcie sił do dalszego pochodu.

Postawiono straż przed chatą, a pozostali jedli i zapijali wesoło przed ciepłym kominem. Jeden tylko żołnierz nie jadł i nie pił wcale. Siedział smutny, odsunąwszy się od swoich towarzyszy. Słyszał on, jak chłopiec, leżąc na łóżku, wzdychał i płakał, tłumiąc łkanie; jak się modlił pocichu „A ita gurea,“ słowa te wyraźnie obiły mu się o uszy. Wzdrygnął się i smutny wsparł głowę na dłoni.

Zadumany żołnierz rozumie te słowa dziecięcej modlitwy. On sam cichym szeptem wymawia je co wieczór przed snem. Są to słowa pacierza w jego ojczystym języku, w starym języku Basków.

Dawno, bardzo już dawno zamienił milczący żołnierz rodzinne góry na obce, cudze równiny; wiele już lat ubiegło od tego czasu, a on nie mógł dotąd ani razu przemówić mową swych ojców — chyba tylko do Boga; lecz chował w sercu pamięć stron rodzinnych, i powtarzał co wieczór słowa baskijskiej modlitwy, których nauczyła go matka...

Dzieciakiem był jeszcze, gdy musiał uchodzić ze swym ojcem z wyżyn pirenejskich daleko na południe Hiszpanii; ojciec wkrótce umarł tam, a chłopiec wyrósł w nędzy pośród obcych mu ludzi, którzy nie troszczyli się wcale o małego Baska, i śmiali się tylko z jego łamanej hiszpańskiej mowy. Przyswoił on sobie wkrótce ten język, i na pozór zamienił się w zupełnego Hiszpana. Na pozór, bo w istocie nie mógł się oswoić ze swem otoczeniem, i marzył ciągle o powrocie do swej górzystej ojczyzny. Ileż razy odkładał swe drobne oszczędności w nadziei, że kiedyś ujrzy znowu śnieżne szczyty gór, u stóp których upłynęły jego dziecinne lata; że tam pod własną strzechę wprowadzi jedną z tych ślicznych wysmukłych góralek, które ukazywały mu się nie raz w jego snach młodzieńczych, w ciasnych gorsecikach, w krótkich spodniczkach, przybrane w różnobarwne wstążki, jak je, pamiętał z lat dziecinnych. I oto wrócił nareszcie w te rodzinne strony; lecz jakże inny był ten powrót, jak różnił się od tego, o którym on marzył! Zaciągnięty do wojska królowej Krystyny, wcielony został do oddziału, udającego się ku Pirenejom, dla przytłumienia tam powstania Basków, którzy w zajadłej walce bronili swych odwiecznych praw i swobód, wobec nowej władzy hiszpańskiej.

W milczeniu szedł też ku północy, wśród swych współtowarzyszy Hiszpanów, nie domyślających się zgoła, iż ten zamyślony, zawsze w sobie zamknięty młodzieniec, pochodzi właśnie z krwi owych buntowniczych Basków, których oni mieli zdruzgotać i upokorzyć swym mieczem. Serce silniej mu w piersi zabiło, gdy ujrzał na widnokręgu tak dobrze sobie znane śnieżne gór szczyty. Lecz szedł dalej krokiem mierzonym. Nie przyszło mu nawet na myśl, że będzie przelewać krew bratnią. Poddał się w milczeniu żelaznej karności wojskowej. Ba! wysłał już nawet kul kilka w gromadę powstańców, którzy ze szczytów skał usiłowali powstrzymać pochód wojska... Teraz dopiero cicha modlitwa w mowie ojczystej, wypowiedziana niewinnemi ustami dziecięcia, wstrząsnęła całą jego istotą; teraz dopiero rzeczywistość przedstawiła mu się w całej swej grozie. Czyż więc ma zanurzyć broń swą w krwi braci, ma dopomódz do tego, aby oni nazawsze ulegli rządowi hiszpańskiemu, aby siłą oręża nagiąć ich pod obce jarzmo, odebrać im ostatek ich praw narodowych?.. Powiadają, że to zbójcy, bandyci... Dla czego? Czy dla tego, że bronią świętego dziedzictwa swych ojców?.. że siłą odpierają siłę?.. A gdyby nawet rzeczywiście był to naród rozbójniczy, to przecież on jest jego synem, i nie powinien walczyć przeciwko własnej ojczyźnie!

Spojrzał na Zargę. Bask ten zdradził sprawę swych braci, i oto teraz zamierza wydać głównego wodza powstania w ręce nieprzyjaciela. Podły! Siedzi tu oto spokojnie, i wysypuje z trzosa na dłoń pieniądze, które lśnią krwawym blaskiem przy czerwonawem świetle ogniska. Pieniądze te—to zadatek za podłą zdradę Judasza!

Jakże chętnie rzuciłby się na tego nędznika, i zadusił go tym przeklętym trzosem pełnym złota! Niestety! Nietylko nie zadusi go, lecz sam nawet stanie się wspólnikiem tego podłego czynu. Sam pomoże zdradzić swój naród, i pojmać jego przywódców. Jak temu zapobiedz? A jeźli chybi? Przeniewierczy żołnierz padnie pod ciosami towarzyszy, a zdrajca wykona swoje...

— Dalej w drogę — zawołał dowódca.

— Trzeba jeszcze związać chłopca i zatkać mu usta... — radził Zarga.

— Spi twardo — nadmienił zadumany żołnierz.

— Dajmy mu pokój! Należy tylko dobrze zamknąć drzwi od sieni, aby nie mógł uwolnić matki - - wyrzekł oficer.

Zarga tymczasem opasał się mocnym sznurem. Tym samym sznurem opasali się również wszyscy żołnierze, i w ten sposób utworzyli długi żywy łańcuch. Ścieżka, wijąca się po stoku skały, była tak wązką, że tylko pojedyńczo schodzić po niej mogli. Naprzód szedł szpieg, potem oficer, a za nimi ów żołnierz, który słyszał w góralskiej chacie cichą modlitwę dziecięcia. Było ciemno. Śnieg tylko bielił się mdłym blaskiem w rozpadlinach skał, powyżej jeszcze połyskiwały lodowe szczyty — a w dole, pod ich stopami, w przejmujących grozą ciemnościach kryły się przepaście bezdenne.

— Ostrożnie... upominał Zarga.

— Ścieżka ślizga od lodu, i gwałtownie pochyla się ku przepaści, znajdującej się za tą stromą skałą. Tam skręcimy na prawo, w górę, wygodniejszą ścieżką. Tymczasem ostrożność! Opierajcie się o ścianę skały.

Zwolna, uważnie oddział zstępował na dół, zbliżając się ku wystającej skale.

— Co tam szepcesz? zapytał oficer, zwracając się do żołnierza, idącego tuż za nim, gdy już dochodzili do zakrętu skały, — czy modlisz się ze strachu?

Żołnierz przestał szeptać, lecz w duszy modlił się dalej: „A ita gurea“ i nagle, rozpostarłszy swe silne baskijskie ramiona, rzucił się z szybkością błyskawicy na dowódcę, i pchnął go silnie ku Zardze, stojącemu nad brzegiem przepaści.

I żywy łańcuch, ciało za ciałem, stoczył się do czarnej bezdennej otchłani...

Początek i rozwój staro-egipskiej religii

przez

Jerzego Ebersa

(z niemieckiego.)

(*Dokończenie*)

Pozycja egipskich bóstw w różnych miejscach i czasach nie była jednakową, lecz jak mówiliśmy, nie ma żadnego z głównych bożków Egiptu, który by nie był tak dawny jak najstarsze pomniki, choć także można w pierwotnych tekstach odnaleść ślady uznania zjednoczonego Boga. Życie całe Egipcjan przedstawia nam się, na co musimy nacisk położyć, jak coś zupełnie skończonego w zarysach. Jest to drzewo, którego korzenie uschły, lecz pień i gałęzie utrzymały się wyśmienicie. To co widzimy na nim rosnącego, są to tylko liście; spotykaliśmy je w najdawniejszej, badaniu przystępnej epoce, jako pączki na dobrze ukształconych gałęziach. Spostrzeżenie to nie znosi zarzutu, gdybyśmy chcieli jednak z Le Page Renouf'em iść za zmianami, które się w ciągu egipskiej historji znachodzą, to zaledwie potrzebowalibyśmy uważać w rozwiązaniu naszego zagadnienia na rozmnażanie liczby niektórych bóstw drugorzędnych i demonów, które najwydatniejszym historycznym faktom początek zawdzięczają; ale podnieślibyśmy stanowczo, że podczas gdy w starożytnem państwie monoteistyczne idee wyrażały się rzadko i niepewnie, w nowem te same z licznych tekstów wyraziście występują. — Nie tylko w hymnie Amona, zachowanym w Bulaku, Jeden, Zjednoczony bywa wysławianyma, le i w innych miejscach. A i napisy z czasów

Ramessidów, wyryte na ścianach grobowców królewskich, które już Naville odczytał, dowodzą, że kapłani egipscy z owego czasu, monoteistycznym poglądem panteistyczny system zaczynają wykształcać. Ten zawiera wiele myśli, które szczególnym trafem przypominają pewne nauki Heraklita, jak wykazał Teichmüller, i pierwszych platonistów.

Nauce wiary egipskich kapłanów, jak wielu naturalnym religiom, zdaje się dualistyczne zapatrywania podłożono, a z tych prawdopodobnie rozwinęły się wyobrażenia monoteistyczne i panteistyczne ostatnich czasów. Posłużyliśmy się umyślnie wyrażeniem „nauka wiary egipskich kapłanów“ ponieważ zdaje się ona przewyższać inne na afrykańskiej ziemi powstałe, które później szym religijnym obrzędom egipskim, właściwej zewnętrznej formy użyczyły, i do których określenie Pietschmanna „feteszyzm egipski“ znalazło by zastosowanie. Dla lepszego zrozumienia rzeczy wykażemy początek i skład egipskiej oświaty ludowej. Uciekniemy się wprawdzie przytem w dziedzinę hypotez, ale ani antropologia, ani porównawcza filologia wyrażonych tu, a już gdzieindziej umotywowanych przez nas wyobraźni, zachwiać nie mogła.

Pierwotni mieszkańcy Egiptu byli Afrykanami, lecz fala ludów azjatyckich już bardzo wcześnie rozlała się w dolinie Nilu, i zapanowała nad ciemnoskorą ludnością, która z nią do pewnego stopnia się połączyła. — Przybysze znaleźli w zdobytym kraju ludność skłonną do zwierzęcego feteszyzmu, sami zaś ze swej ojczyzny przynieśli nad Nil kult sabaicki. Powoli nadawali mu stosowną do warunków nowej siedziby postać. Stosownie do wyższego uzdolnienia swego szczepu dziecinnej tej służbie dali głębszą treść duchową, a formy zwierzęcej użyli tylko dla odróżnienia jednej czczonej istoty od drugiej. Głowy bogów były urobione na wzór zwierząt, zasób bowiem ich artystycznej wiedzy nie sięgał tak daleko, by módz w antropomorficznych kształtach obrazy bóstwa zatrzymać i uplastycznić. Co przez wyraz twarzy, rozwinięcie i postawę ciała nie udało się wyobrazić, to przez zwierzęce symbole dla ogółu stawało się zrozumialszem. W ten sposób religijne nawyczki mieszkańców były uwzględnione, a równocześnie przybyszom nadarzała się sposobność ukazania swych wyższych duchowych talentów i subtelnej siły pojęcia. Niema żadnej religii, któraby nie posiadała cech dawnej religji po której nastąpiła, chociażby tylko w formie zabobonu. Uzdolniony lud, w kraju regularnej zmiany i powtarzania się zjawisk natury, łatwo mógł to powtarzanie uznać jako jednę z górujących własności działania bóstwa; i tak zwierzęta, których odrębna istność i byt typowo, niezmiennie z rodzaju na rodzaj przechodziła, dla działalności różnorodnych jako odpowiednie symbole boskiej siły mogły być uważane. Byk i baran wyobrażały wybornie użyźniające siły, wzbijający się w górę krogulec istotę podnoszącego się słońca, na - cierpliwsza z mamek, krowa, macierzyńską istność żywiącego bóstwa, i może być łatwo, że Plutarch poniższe zdanie w dziele o Izisie i Ozirisie, do którego czerpał po większej części z dobrych egipskich źródeł, powtarza za kapłanem broniącym kultu zwierząt przez swój lud wykonywanego: „Słusznem jest, iż nic nieuduchowionego (bez duszy) nie otrzyma pierwszeństwa przed udochowionom (z duszą) nic nieczułego przed czującem, choćby nawet wszystko złoto i szlachetne kamienie na jeden stos ułożono; ponieważ nie w kolorze, blasku, pestaci przebywa bóstwo, a co nie ma udziału w życiu, ani natura jego nie żyje, nędzniejszem jest niż umarłe. Przeto nie w owych, (świętych zwierzętach) bóstwo nie gorzej bywa przedstawione niż w marmurze i kamiennych działach rąk ludzkich, które wprawdzie wybornie przyjmują kolor i barwę, pozbawione są jednak rozumu i zmysłu.“ Ze zdań wyrażonych o świętych zwierzętach to uznaję za najsłuszniejsze.

Feteszyzm zwierzęcy zdaje nam się z środka nierozwiniętego, afrykańskiego szczepu pochodzić, lecz subtelna inteligencja azjatyckich przybyszów podniosła go już w przedhistorycznej epoce na wyższy szczebel istnienia. Nie podlega wątpliwości, iż święta symbolika zwierząt, wyszła z tego samego ludowego ducha, który hieroglify i późniejszą naukę o życiu duszy po śmierci wymyślił.

Lokalne obrządki t. j. cześć oddawana niektórym zwierzętom w różnych miejscowościach kraju, prawdopodobnie należy do najodleglejszej starożytności; zatrzymano ją, lecz coraz więcej uduchowiano, uszlachetniano i z czcią przybyszów dla gwiazd połączono. Tej ostatniej było przeznaczonem wkrótce całą wiarę Egipcjan opanować, a na niej opierają się jak mówiliśmy jeszcze w historycznej epoce istniejące myty. W ten sposób również wyjaśnia się, że niejedne szczegóły Azjatów w religji egipskiej znachodzą zastosowanie.

Azjaci nie mogli kojarzyć się tylko między sobą — bo byli zmuszeni nijako kobiety afrykańskie pojmować za żony. Przewodnicy ich podzielili kraj między swych zaufanych a ci zostawili krajowcem uprawę roli, hodowlę bydła, budowę okrętów których potrzebowali, i inne rzemiosła przynoszące im korzyść, a sami podczas długiego pokoju ćwiczyli się w umysłowych zadaniach, aby i duszą ujarzmionego ludu owładnąć. Tak powstało kapłanstwo, które jeszcze na dawnych historycznych pomnikach, nie przedstawia nam się wcale jako z sprawą obrządków obeznana hierarchja, ale raczej jako luźnie spojone towarzystwo, które koło osoby króla przebywa, o godności duchowe, ziemskie, a nawet i wojskowe ubiega się, i stara się gorliwie o sprawowanie rządów w swych włościach. W kole tej uprzywilejowanej gromady, która daleko będąc od nieprzyjemnego odosobnienia, zezwalała na każdy wyjątek wypełniający warunki na ich uzdolnienie i wiadomości nałożone, wymyślano wszystko, wypracowywano z wytrwałością, i wykonane starannie ukazywano, wszystko co egipskiej mądrości między ludami starożytnemi tak wysokie stanowisko nadało. Kapłani również byli tymi, którzy „jedną, jedyną“ rządzącą życiem ludzkiem i światem siłę uznali, oni dla każdego objawienia boskiej mocy i dla odnawiającego się zawsze bytu natury, trafne symbole wynachodzili; ale właśnie najwyższe zdobycze swych duchowych usiłowań, uważali za stosowne przed tłumem stojącym po za ich „uświęconem“ towarzystwem, ukrywać. — „Bogi“ im samym nie mogli być czem innem jak hieroglifami, jak nazwiskiem pojedynczej własności, wszechmocnego wiecznego Boga którego znali; mimo to ofiarowywali i urządzali im świątynie, ponieważ dawna reprezentacja domagała się swych praw obok wielkich złączonych myśli — i każda troistość boga, na której w żadnem sanctuarium nie zbywa, prawidło wiecznego bytu w symboliczny sposób przedstawiała. Czyż po tem może nas jeszcze dziwić, gdy w historycznym czasie w pismach moralnych egipskich ułożonych przez kapłanów niekiedy o „bogach“ o „Bogu“, (gdyż także to tłumaczenie byłoby dopuszczalnem) o „jednem bóstwie“ jest mowa?

Słowo egipskie „nuter“ które my zwykle „Bóg“ tłumaczymy, Le Page Renouf początkowo opiera na znaczeniu „mocy“. Dowody jego przekonują nas zupełnie, a nie tylko dlatego iż rezultat ich snadniej z naszemi niż jego pojęciami licuje.

Hypotezie uczonego autora staraliśmy się inną przeciwstawić i oświadczyć w końcu, iż czytelnik prelekcji Le Page Renouf'a znajdzie tam starannie narysowany obraz egipskiej religji; tylko początek tejże zdaje nam się, że pojmujemy inaczej niż nasz kolega. Jego dobrze napisana książeczka, zyskuje szczególnie przez obfitość poprawnie przetłumaczonych tekstów egipskiej literatury z wszelkich epok, które zawiera. Służą one bezsprzecznie do wytłumaczenia i lepszego zrozumienia rzeczy.

Przegląd literacki.

(Geschichte der polnischen Literatur von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Friedrich (w dużej 8ce — VIII do 500 str.)

W r. 1832 w Berlinie urzędnik ministerjalny Józef Lehmann założył „Magazin für die Literatur des Auslandes“ jako organ, dla spraw literatur wszystkich narodów ucywilizowanych. Tygodnik ten, w najnowszych czasach przeszedłszy w nakład Wilhelma Friedricha w Lipsku, i przybrawszy nazwę: „Magazin für die Literatur des In - und Auslandes“, coraz mniej literaturami słowiańskiemi a zwłaszcza polską się zajmuje. Nakładca zaś wydaje mnóstwo tłumaczeń z rozmaitych piśmiennictw, między innemi i dzieł polskich, ale pod takimi warunkami, iż to komis raczej, nie nakład. Bo p. Wilhelm Friedrich więcej jeszcze niż większość księgarzy, przedewszystkiem interesem spekulacyjnym się kieruje...

Prócz wielu rzeczy małej wagi, które za pomocą reklamy w niebogłosy krzyczącej p. Friedrich całemu światu jako arcydzieła obwieszcza, wychodzą tam i niektóre dzieła rzeczywist-j wartości. Do takich zaliczyć wypada przedsięwzięte świeżo wydawnictwo: „Geschichte der Weltliteratur in Einzeldarstellungen“, którego tomy dla siebie całość stanowiące, pojedyncze literatury w sposób dla szerszej publiczności zajmujący przedstawiać mają. Tom pierwszy wydawnictwa obejmuje całokształt piśmiennictwa francuskiego, z życiem i zapałem doskonale narysowany, tom drugi stanowi dzieło, które tu bliżej omówić zamierzamy.

Dotychczas Niemcy wiadomości o literaturze polskiej z nowszych dzieł zaczerpnąć ..ragnący, następujące środki ku temu podali.. W 1868 r. wyszła w Wrocławiu „Ge..ichte der polnischen Literatur übersicht..h dargestellt von E. P.“, a w Moguncji ..73 r. „Geschichte der polnischen Natio..lliteratur von E. Lipnicki“. Zestawiamy ..iążki te razem, bo autorem obu jest p. ..nil Puffke, obecnie redaktor praskiej „Po..ik“, który rozliczne fejletony o literaturze ..lskiej po niemiecku ogłaszał, i artykuły ..go przedmiotu dotyczące w Meyera „Con..rsations - Lexicon“ napisał. Z dzieł wymie..onych pierwsze zanadto pospiesznie ułożo.., drugie wybitniejsze postacie literatury ..lskiej na podstawie nowych podręczników ..eźle rysuje. W r. 1680 u Żupańskiego p. ..urtzmann, niepomiernie zasłużony około ..bywatelenia literatury naszej u Niemców, ..ykłady ś. p. Cybulskiego, już dawniej po ..lsku wydane, w oeyginale niemieckim wy..ł, objaśniając je uwagami i sam tłumacząc ..ajwiększą część prób poezji, które Cybulski, ..ykładający w Berlinie po niemiecku dla słuchaczów przeważnie polskich, w oryginaie cytował. Wykłady te jednak, jak wiadomo, tylko pewną część literatury naszego stulecia uwzględniają.

Oprócz wspomnionych dzieł istniały i istnieją tylko jeszcze omawiania literatury polskiej w podręcznikach, traktujących o literaturze powszechnej, jak n. p, w znakomitem dziele Scherra, w książce Leixnera i t. p.

P. Henryk Nitschmann tłumaczył oddawna poezje z rozmaitych języków, ale żadnej literaturze z tak wielkiem nie oddawał się zamiłowaniem, jak polskiej. Język polski poznał za młodu w prowincji, z której jest rodem. W r. 1860 wystąpił z maleńkim zbiorkiem, ledwie kilkadziesiąt wierszy polskich wraz z jego przekładami tychże zawierającym. Tytuł dziełka tego był: „Polska na Parnasie“ „Der polnische Parnass.“ Następywały szybko po sobie wydania, aż r. 1875 wyszło wydanie czwarte, bardzo znacznie pomnożone, zawierające obfity zbiór wierszy od złotej epoki aż do naszych czasów, wierszy poetów pierwszo-, drugo-, trzeciorzędnych, same już przekłady bez oryginałów, z notatkami biograficznemi i obszernym wstępem o literaturze polskiej.

W obecnie wydanej historji literatury polskiej, podzieliwszy dzieje na epoki według najczęściej przyjętej metody, omawia p. Nitschmann w luźnych rozdziałach o osobnych tytułach, to pojedynczych poetów, to ważniejsze dzieła, to stosunki społeczne lub charakterystyczne znamiona odnośnego okresu. Nacisk kładziony na stosunki dziejowe i obyczajowe, na których tle rozwija się piśmiennictwo, jeśli już zawsze w podobnych dziełach, to istotnie przedewszystkiem tu był pożądany, gdzie chodziło o zapoznanie obcokrajowców z literaturą nieznaną, powstałą śród stosunków również mało czytelnikom znanych.

W całem dziele p. Nitschmanna największa sympatja dla spraw polskich się przebija. Łagodzi on, i o ile można, usprawiedliwia na każdym kroku co było złe, a wszystko co dobre, uznaje i chwali z gorącego serca. W ogóle stanowisko p. N., jakie się w ocenianiu faktów wszędzie przebija, jest stanowisko konserwatywne, religijne, w szczególności konserwatyzm protestancki. Nie przeszkadza to jednak auterowi iż n. p. niechętny dla Jezuitów, przecież wszędzie dobre ich strony podnosi i na pochwałę zakonu przytacza co może.

Z tą pod pewnym względem bezbarwną „przedmiotowością“ autora bardzo dobrze licuje styl jego, nie mający również jak zapatrywania jego wybitnych cech — styl już to kwiecisty, już to suchy, ale rzadko silny: obfitujący w słowa i zdania, ale nie dający dokładnego plastycznego obrazu, na który inny pisarz mimo większego lakonizmu byłby się zdobył. W ogóle jest to styl bardzo wygodny, tak dla autora, jak dla czytelnika, któremu już mało do własnego rozmyślania pozostaje. Także nieraz autor sprzęga razem zdania nie należące do siebie, widocznie kiedy jeszcze o czemś napomknąć chciał, a nie wiedział gdzie tę wzmiankę wsunąć.

(Dok. nast.)

Przegląd muzyczny.

Koncert pp. Bürgera i Löwenberga.

Miejsce przeznaczone na recenzje muzyczne, zajęło w zupełności w ostatnim numerze sprawozdanie z koncertu p. Tyberga, z tego powodu zmuszeni byliśmy odłożyć recenzję z ostatniego koncertu pp. B. i L. do numeru niniejszego.

Koncert ten odbył się we czwartek 16. b. m. w sali Towarzystwa muzycznego w obec bardzo nie wielu słuchaczów, co może nieco wygórowanym cenom przypisać należy. (Najtańsze krzesło 2 złr. 50 ct., na Lwów za wiele). P. Bürger, wiolonczelista znany u nas z koncertów zeszłorocznych, jest artystą w całem tego słowa znaczeniu i włada instrumentem zupełnie. Ton nie wielki ale nadzwyczaj miłej barwy, czystość wzorowa, deklamacja wyraźna i rozsądna, świadcząca o jasnem zrozumieniu rzeczy, gruntownem muzykalnem wykształceniu i niepospolitym talencie. W sonacie D-dur Rubinsteina, która była najpiękniejszym numerem koncertu, a którą obaj artyści zasłużenie burzę oklasków wywołali, szczególnie zachwycił nas świetnem, nadzwyczaj subtelnem, i w całem tego słowa znaczeniu prześlicznem wykonaniem ustępu środkowego (Moderato assai) pełnego poezji i głębokiego uczucia. Pianista p. Löwenberg, który swą powierzchownością zrazu jakieś dziwne uczucie wątpliwości i niedowierzania w nas wywołał, uzyskał zaraz po ukończeniu sonaty — gdzie miał ogromne pole do popisu, i gdzie myślą kompozytora do głębi przejęty, porywał słuchaczy swym ogniem i namiętnością — ogólną sympatję. Wykonał ją też bardzo pięknie i (prócz kilku miejsce w których fortepian w obec idealnego pianissima a niezbyt wielkiego tonn pana B. cokolwiek za mocno występował), tworzył z wiolonczelistą jedną duszę i jedno ciało — znakomity ensemble. Wszystkie, tak liczne w tym utworze, acceleranda i rallentanda, crescenda i decresc., jednem słowem najsubtelniejsze odcienie, wykonane były z przedziwną zgodnością, — dowodziły nie tylko wspólnej pracy ale i wspólnej myśli.

P. Bürger odegrał następnie Adagio i Allegro Boccheriniego, rzecz o cały wiek różniącą się od kompozycji Rubinsteina, — w jednej szalona, rozhukana, co chwila przełamująca wszelkie zapory, namiętność (sonatę łacnie fantazją nazwaćby można) w drugiej zaś spokój, i miła słodycz niezamącona i nienaruszona. A obydwa te dzieła, dwa przeciwne bieguny, jedno po drugiem grane podobały się bardzo, — jak to tłumaczyć? Sami sobie z tego sprawy zdać nie możemy — to jednak pewna, że egzekutor umiał znakomicie przejąć się duchem każdej z tych kompozycyj. — Marzenie Schumanna, ten kilkunastutaktowy poemat, choć na fortepian pisany, nadający się jednak doskonale na instrument smyczkowy, przypominający nam zawsze, nie wiemy już czyje powiedzenie, że gdzie się mowa kończy, tam muzyka zaczyna — wykonane i było bardzo skończenie pięknie, jakby na potwierdzenie słów przytoczonych. Kaskadą Davidoff'a, kompozycją nadzwyczaj trudną, w której p. B. mógł się popisać ogromną techniką — Cismoll Etudą Chopina w transkrypcji de Swert'a, Poppera, Mazurką i Tańcem Nimf, w którym podziwialiśmy równe i swobodne spiccato, a przy szalonych zmianach pozycji — c z y s t o ś ć n i e z w y k ł ą — zachwycił koncertant wszystkich słuchaczów. Wywołał też burzę oklasków i zmuszony był dls uśmierzenia jej dodać nad program śliczny Gavot Poppera w którym mu p. Löwenberg doskonale z pamięci towarzyszył.

Temu ostatniemu nie można odmówić ogromnie rozwiniętej techniki, jasności deklamacji, i muzykalnego rozumu (którego dowiódł w sonacie Rubinsteina i jako akompanjator) — nie zachwycił nas jednak jako solista tak, jak jego towarzysz, nie ma bowiem legata, co szczególnie w wykonaniu „Am Abend" Schumanna i „Melodji" Moszkowskiego czuć się dawało. Najlepiej może wykonał pieśń bez słów Mendelssohna i Walc Moszkowskiego; — w Menuecie Mozarta raził nie mile swojem zbyt gwałtownem forte. W celu wykazania, iż pokonać może wszelkie techniczne trudności, odegrał, jako ostatni numer programu, Danse macabre Saint-Saens'a w układzie Liszta i „brał lekko" licznie najeżone „przeszkody."

Ł.

ZIARNKA.

Niadawno temu wytknęliśmy na tem miejscu niestosowność w wyborze tematów do odczytów, przeznaczonych dla robotników, a uczyniliśmy to z powodu odczytu w „Czytelni ludowej"... o skowronku. Obecnie widzimy się w położeniu powtórzyć te same uwagi a propos ogłoszonych na sezon zimowy odczytów w „Gwieździe. Oto ich spis:

W grudniu: Dnia 3. Ksiądz dr. Jan Siemieński: „O literaturze polskief". Dnia 8. Karol Rawer: „Olesko", Dnia 10. Ks. dr. Jan Siemieński: „O literaturze polskiej". Dnia 17. Zimmermann: „Narody słowiańskie nad Elbą".

W styczniu: Dnia 7. Dr. Józef Żuliński: „O najdawniejszych zabytkach pracy ludzkiej", Dnia 14., 21. i 28. Zygmunt Sawczyński: „Dziecię w rodzinie".

W lutym: Dnia 2. Władysław Zawadzki. „O zamku Wawelskim". Dnia 4. i 11. Dr. Tadeusz Żuliński: „Hygena rzemiosł". Dnia 18. Zimmermann: „Z historji Lwowa". Dnia 25. Dr. Józef Żuliński. (Tytuł nieznany.)

W marcu: Dnia 4. Dr. Dobiński: „Zarys chorób umysłowych i znaczenie szpitalów dla obłąkanych". Dnia 11. Dr. Dobiński: „O wyrabianiu woli". Dnia 18. Karol Rawer: „Odsiecz Wiednia".

Specjalnie wystąpić musimy przeciw tematom z historji. W odczytach przeznaczonych dla robotników, trzeba przedewszystkiem unikać ustępów wyrwanych z całości, z których im w głowie nie wiele pozostanie, a podawać ogólne poglądy na dzieje, na cywilizacyjny rozwój społeczeństw i t. d. Takie wiadomości jak o zamku Wawelskim, o odsieczy Wiednia nie na wiele się przydadzą, można to wszystke wiedzieć, a jednak mieć bardzo ciasne poglądy. Ogólny pogląd na dzieje, wskazanie jaką drogą kroczy ludzkość, aby dojść do swego ostatecznego celu, do zapewnienia bytu i naturalnego rozwoju wszystkim jednostkom — oto tematy, które przedewszystkiem uwzględnić należało. Nie możemy się także zgodzić na takiego prelegenta, jak dr. Siemieński, który z pewnością nawet historji literatury polskiej użyje do propagowania swych wstecznych zasad, z czego jest znany. Będziemy się starali śledzić bacznie te odczyty, o ile odpowiedzą swemu zadaniu.

* * *

Podczas gdy wszystkie prawie stany mają u nas stowarzyszenia wzajemnej pomocy — ten stan, który tyle położył zasług około zakładania stowarzyszeń — stan dziennikarzy dotyehczas nie posiada nic podobnego. Obecnie możemy z przyjemnością skonstatować, że luka ta, wcale nie pochlebnie o nas świadcząca, zapełnioną zostanie. Projekt statutu stowarzyszenia wzajemnej pomocy dziennikarzy jest już gotowy, i w tych dniach ma być przedyskutowany. Nie wątpimy, że myśl wejdzie w życie, i że w obec wspólnych wszystkim interesów, powinne w tym względzie umilknąć wszelkie nieporozumienia, będące wypływem zapatrywań i przekonań w sprawach publicznych. Wszyscy dziennikarze, do jakiegokolwiek obozu by należeli, powinni przystąpić do stowarzyszenia i wykluczyć tylko należytych, którzy dziennikarstwu hańbę przynoszą, owych rewolwerowiczów, którzy swojem postępowaniem w obec nieświadomej bliższych stosunków publiczności tak zdyskredytowali reprezentantów opinii publicznej. Z tymi zawsze i wszędzie za drzwi!

* * *

P. Banzemer, autor licznych artykułów statystycznych w pismach warszawskich podał projekt, aby każda „inteligentna" rodzina polska złożyła na pomnik Mickiewicza przy wieczerzy na wilję Bożego Narodzenia 1. rubla, a młodzież akademicka w Krakowie agituje tę samą myśl u nas z zamianą tylko waluty rosyjskiej na austrjacką. Ciekawy będzie rezultat, ile się znajdzie tych „inteligentnych" rodzin?

* * *

Ze zdziwieniem dowiadujemy się z publicznych doniesień, że prezes towarzystwa oświaty ludowej przyrzekł „kółkom włościańskim" nie robić nic takiego, coby wchodziło w ich zakres działania. Jest to szczególne przyrzeczenie, boć oba towarzystwa mogą się tylko wzajemnie wspierać, a działania ich w żaden sposób nie mogą i nie powinne się wzajemnie paraliżować. Spodziewamy się, że prezes towarzystwa ośw. ludowej zrobił krok ten bez wiedzy wydziału, i że tenże aprobować go nie będzie, a w każdym razie powinien go znacznie z modyfikować.

ZAPISKI.

Literatura.

* Komisyja antropologiczna pod przewodnictwem Dra M a j e r a odbyła posiedzenie dnia 18 b. m. — Przewodniczący przedstawił dużą obręcz bronzową i 2 takież naramienniki o dwóch odwrotnych wolutach, wielce cenne przedmioty wyorane we wsi Wojczy, majętności pana Jana P o p i e l a w powiecie stopnickim i przez tegoż komisji ofiarowane. Po uwagach nad niemi sekretarz komisji Dr. K o p e r n i c k i przedstawił prace i materjały z różnych stron nadesłane lub zapowiedziane; mianowicie wskutek odezwy komisji o dostarczenie wykazów, mogących posłużyć do oznaczeuia średniego trwania życia, przyrzekli swój udział Dr. M a z u r k i e w i c z i słuchacz medycyny K o r a y z Krosna, Dr. P r o c h a s k a z Brzostka, Dr. B o g d a n i k z Biały, Dr. J a n i s z e w s k i z Glinian. Liczne przyczynki entnologiczne otrzymała komisja od X. B r y k c z y ń s k i e g o z Ciechanowa w Król. Pol.

pp. A. Stopy z Osielca pod Makowem, Dra. Wł. Dybowskiego z Niańkowa, od pań: Z Rokoszowskiej, S. Stablewskiej, M. Mierzejewskiej p. Tomaszewskiej, J. Moszyńskiej. Wielce cenne prace etnologiczne przyrzekli p. B. Popowski z Zalewańszczyzny na Ukrainie, Dr. Wł. Semeran zbiór pieśni Podhalan. Następnie przyjęła komisja do wiadomości przez prof. Łuszczkiewicza, potrzebę umiejętnego rozkopania cmentarzyka w Bykowcu pod Haliczem, należącego prawdopodobnie do XI. lub XII. wieku, tudzież oświadczenie Dra. Ł. Malinowskiego, iż za jego pośrednictwem p. R. Zawiliński odda komisji zbiór opowieści ludowych z okolic Zabarazia, w powiecie Nowosandeckim, oraz wskazówki do poszukiwań etnograficznych.

* Jules Claretie czytał w tych dniach w Gymnase nową komedję swoją „Monsieur le Ministre".

* W handlu księgarskim ukazała się siódma serja albumu widoków Polski Napoleona Ordy. Ryciny, wykonane jak zwykle starannie, przedstawiają rozliczne miejscowości ziemi wieluńskiej, łęczyckiej oraz gubernii kieleckiej,

* P. Marjan Baraniecki, docent uniwersytetu warszawskiego, otrzymał upoważnienie na wydawnictwo czasopisma: *Bibljoteka matematyczno-fizyczna.* Wydawnictwo obejmować będzie fizykę, geografję fizyczną, fizjografję, matematykę, mechanikę, astronomję, rysunek techniczny, buchalterję, zbiór zadań, sposoby nauczania powyższych przedmiotów, artykuły popularne z tegoż zakresu, wreszcie słownictwo naukowe. W ciągu roku wychodzić mają najmniej dwa tomy.

Teatr i muzyka.

* Świetny dowód wyrobionego krytycyzmu, złożyła przed niedawnym czasem publiczność londyńska. Wiadomo że Tennyson, uwieńczony poeta angielski uważany jest przez Anglików za najznakomitszego poetę współczesnego, a sława jego jest tak dalece drogą Anglikom, że każda nieprzychylna krytyka poezji jego zagranicą zdawała im się obrazą całego narodu. Tennyson był nietykalny, a krytyka miejscowa niemiała odwagi wypowiedzieć słów prawdy, nawet po przedstawieniu kilku dramatów jego, wprowadzonych na scenę przez Ironiego, których najlepszą stroną były dekoracje. Nareszcie sam gust wrodzony publiczności się obudził. Niedawno temu przedstawiono w „Globe" nowy fabrykat dramatyczny Tennysona pt. „The Promise of May", który najkompletniejszego doznał fiaska. Cała sztuka niema i śladu akcji lub charakterystyki. Jest to po prostu czcza deklamacja przeciw materjalizmowi, czy socjalizmowi, bo to u autora niezbyt jasne; bohaterem a równocześnie czarnym jak smoła charakterem jest jakiś człowiek, który uwodzi dziewczynę dlatego, że jest materjalistą, a później ze „skruchy" chce się żenić po formie z jej siostrą. Tego wszystkiego za dużo było publiczności londyńskiej. W teatrze powstały niesłychane wrzaski, c echo ich odbiło się w krytyce dziennikarskiej, która przyznała zupełną słuszność publiczności.

* W Bolonii miał wielkie powodzenie w „Teatre Comunale" Wagnera „Lohengrin"

Sztuki piękne.

* W Chartres zmarł w tych dniach Mikołaj Lorni, jeden z najznakomitszych malarzy na szkle we Francji, który dostarczył wspaniałych szyb do restaurowanych kościołów w Bourges, Roiuen, St. Denis, Lugdunie, Orleanie i do św. Szczepana w Wiedniu. Malowidła jego odznaczały się smakiem i silnym kolorytem.

* Dla tych, którzy się interesują historją kobiernictwa, będzie zajmującą wiadomość, ze nakładem A. Quantina w Paryżu wyszło nader cenne dzieło ozdobione heliograwirami według rysunków Margueta i Dauphinot. Autorem dzieła jest M. Ch. Loriquet, a tytuł jego „Les tapisseries de la cathedrale de Rheims".

* Rosyjska ilustracja „Niwa" pomieściła w jeduym z ostatnich numerów kopię z obrazów Siemiradzkiego p. t. „Granice władzy."

W ostatnim numerze tegoż czasopisma znajduje się piękny drzeworyt Raszewskiego, zatytułowany: „Werbunek w Anglii"

* W amerykańskiej „New-York-Herald" pomieszczono sprawozdanie z obrazu Alfreda Kowalskiego, przedstawiającego krajobraz zimowy polski. Obraz doznał za oceanem gorącego przyjęcia w świecie artystycznym, recenzja zaś oddaje wielkie pochwały pędzlowi Kowalskiego.

* Do salonu Krywulta mają wkrótce przybyć z Wiednia dwa obrazy Hansa Makarta, przedstawiające bogactwa ziemi i morza. Od czasu wystawienia „Czterech pór roku" w towarzystwie zachęty sztuk pięknych, Warszawa nie oglądała obrazów wiedeńskiego mistrza.

* Nakładem Lewentala ukazała się kolekcja rysunków Andriolego, przedstawiających bohaterki poezji polskiej.

* Hołd pruski z Wiednia ma być przesłany do Rzymu, gdzie zapewne wywoła gorący zapał w pośród artystów i krytyków.

MISCELANEA.

Marja Stuart przedstawiała się dotąd inaczej w historji, a inaczej w poezji. Geniusz poety stworzył szlachetną postać, która zdołała pozyskać sobie sympatję i współczucie czytelnika, zaś historja powiada nam, że kobieta ta nie wahała się targnąć na życie męża, byle tylko zadość swym żądzom uczynić. Tymczasem pokazuje się, że może poeta miał więcej słuszności, niż cały zastęp uczonych, potępiających nieszczęsną królowę, bo oto Dr. E. Becker w monografii o Marji Stuart wykazuje zupełną jej niewinność.

Schiller poszedł za zdaniem obrońcy królowej, Gentza, jednak był przekonanym, że stosunek jej do Darnleya i Bothwella był tego rodzaju, iż bez winy z pewnością ona nie była. Bezstronnych świadectw współczesnych nie miał pod ręką, a na podstawie tych, jakie były, wyrobiło się przekonanie, że Marja wiedziała o spisku na życie męża, a mimo to w kilka miesięcy po strasznym czynie oddała rękę temu, którego opinia publiczna całkiem słusznie wskazywała jako mordercę.

Jednak rzecz szczególniejsza, że wszystkie akta dyplomatyczne współczesne milczą o winie królowej, a pogłoski o współudziale jej w morderstwie, poczynają się rozchodzić dopiero w siedm miesięcy po ślubie z Bothwellem. Królowa Elżbieta nie zważa jednak na nie, i w dwa lata po śmierci Darnleya oświadczyła, że nie ma najmniejszej podstawy do obwinienia królowej, dopiero gdy uciekła do Anglii i gdy ją wtrącono do więzienia, na nowo poczynają krążyć pogłoski, ubliżające jej sławie. Zjawiły się listy, które Marja miała pisać do Bothwella, a które ją mocno kompromitowały. Dr. Becker gruntownie zbija prawdziwość ich, i pokazuje się z jego badań, że w całej tej sprawie motywy osobiste małą odgrywały rolę, a natomiast przyczyną katastrofy było polityczne położenie ówczesnej Szkocji. Oto królewska para była katolicką, a przytem ściśle związaną z Hiszpanią i Rzymem, partja więc protestancka uknuła spisek, którego ofiarą stał się król, zaś jeden ze spiskowych miał zająć jego miejsce, a tym szczęśliwym był Bothwell. Dnia 9. lutego 1567 r. wyleciał w powietrze zamek Darnleya, a już 19. kwietnia tegoż roku zażądała protestancka szlachta i kler, by Marja oddała rękę Bothwellowi, co miało być niezbędnem ze względu na dobro ludu. Marja odmówiła, co jest faktem historycznym, ostatecznie uległa konieczności; jednak od tej chwili czuła się sama najnieszczęśliwszą z kobiet...

Wszystkie oskarżenia późniejsze były to wymysły Elżbiety i partji protestanckiej, szło bowiem o to, aby Marję uczynić w Szkocji niemożliwą, bądź co bądź bowiem mogła być niebezpieczną. Zrobiono więc z niej wiarołomczynię i morderczynię męża, a świat przez długi czas wierzył tym wymysłom. Monografią tą stara się Dr. Becker oczyścić sławę przez tak długi czas potępionej królowej.

Korespondencja Redakcji.

P. W. W. w Konoopach. Chętnie umieścilibyśmy, ale brak nam rubryki w tym kierunku, a brak kaucji niepozwala nam w ogóle zabrać głosu w tym względzie. Ks. D. w Ober.... Prenumeratorów naszych zapewniamy, że ekspedycja odbywa się regularnie, a powodem wszelkich nieprawidłowości jest tylko urząd pocztowy. Mimo to prosimy o reklamację.

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.